

ANDRZEJ A. ZIĘBA

<https://orcid.org/0000-0003-4922-6249>

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej, Uniwersytet Jagielloński
Ośrodek Badań nad Kulturą Ormiańską w Polsce, Polska Akademia Umiejętności

Zastanawiając się nad pytaniem o najistotniejsze osiągnięcia historiografii polskiej minionego trzydziestolecia, dostrzegam takie dwa: niebywały rozwój ilościowy (to jest wzrost liczby badaczy i produktów ich pracy) oraz objęcie analizą niemal wszystkich wątków narodowej przeszłości, bliższej i dalszej. Oba cieszą, ale czy są tymi inspirującymi, o które pyta redakcja „Kwartalnika Historycznego”? Niewątpliwie są kłopotem dla kogoś, kto chciałby uczciwie odpowiedzieć na pytania ankiety. Miarodajność kompleksowej oceny dorobku historiograficznego, gdyby chciał jej dokonać indywidualny recenzent, staje się w zarodku wątpliwa, bo nie sposób objąć uwagą wszystkiego tego, co się ukazało na temat przeszłości Polski w różnych językach i na multiplikujących się platformach komunikacyjnych. Niemożliwe staje się zwłaszcza posiadanie zasadnej opinii względem dorobku specjalistycznych wątków badawczych, odległych od własnych zainteresowań. Nie pomagają też zanik sztuki publicznych i autorskich recenzji merytorycznych, które zazwyczaj ukazywały się w czasopiśmie naukowych po opublikowaniu nowych prac, na rzecz systemu poufnego i anonimowego „recenzowania” przed drukiem. Podejmując więc próbę oceny historiografii polskiej ostatnich dekad trzeba zastrzec, że jesteśmy w stanie wykonać to zadanie nie tyle odnośnie do niej całej, ile raczej tylko co do trendu, który się w tym właśnie sezonie jej rozwoju uwidocznił. Jest on do uchwycenia, bo objawia się zarówno w publikacjach głośnych i szeroko dyskutowanych, jak i w specjalistycznych, znanych wąskiemu gronu badaczy konkretnej problematyki.

Zanim jednak przejdę do charakterystyki jego objawów, wypada odpowiedzieć na pytanie ankiety o definicję historiografii polskiej. Bez wątplenia istnieje ona jedna. Zanik politycznej izolacji, dzielącej ją od świata do lat osiemdziesiątych XX w. (choć już wcześniej nie była ścisła) oraz odgórna, urzędowa presja na internacjonalizację (mam tu na myśli obowiązek publikacji w językach obcych) nie doprowadziły do jej rozmycia się. Istnieje nadal jako integralna całość, mimo wewnętrznego

zróźnicowania i nie zawsze szczęśliwej konfrontacji z wieloma nowymi zjawiskami w kulturze i polityce. Spójność tę nadaje jej wspólnota traktowania dziejów Polski jako historii własnej, ojczystej, narodowej. To właśnie sprawia, że dorobkowi przytłaczającej większości tej wzrastającej w ostatnich dekadach liczby badaczy, ani pozakrajowe kariery akademickie, ani uniwersalne modele wyjaśniające stosowane w badaniach, ani czasem przesadnie surowy krytycyzm wobec przodków nie odbierają charakteru historiografii „tubylczej”. Owszem, ów dorobek, niejednokrotnie sprzeczny we wnioskach, zwłaszcza w odniesieniu do zagadnień historycznych aktualnych społecznie, wskazuje na istnienie pewnych pęknięć tożsamościowych we współczesnej kulturze polskiej, ale to inna sprawa, na razie jeszcze nieprzesądzająca o dezintegracji w płaszczyźnie historiograficznej.

Są jednak dwa wyjątki, których nie widzę w tym, co nazwać można zróźnicowaną wewnątrznie historiografią polską, mimo że chodzi o dorobek autorów polskich lub opublikowany w języku polskim. W pewnych sensach badacze ci są z nią związani, więc oba te wyjątki można uznać za straty tej historiografii, ale chyba stanowią już tylko jej istotne konteksty.

Spora grupa historyków wywodzących się z Polski i tu do pewnego etapu kształconych pracuje w różnych miejscach świata w dziedzinie historii Polski, niektórzy nawet szefują uniwersyteckim katedrom z tej dziedziny. Samo w sobie nie jest to zjawisko nowe, polskich historyków działających poza krajem były w wieku XX setki, ale jego konsekwencje w niektórych przypadkach są dziś inne niż dawniej. Współcześnie część takich badaczy wykazuje daleko posuniętą asymilację zawodową w nowych środowiskach uniwersyteckich. Nie mam tu na myśli upodobnienia co do języków, form, praktyk czy metod historycznych. Chodzi raczej o to, że choć etnicznie, kulturowo polscy, pisząc w ramach humanistyk innych niż polska, powielają wiernie miejscowe sposoby traktowania dziejów Polski, łącznie ze stereotypami na ich temat (a czasem nawet ignorancją) i stosują lokalne kryteria ocenne. Nie sposób ich publikacji zaliczyć do historiografii polskiej, nie byłoby precyzyjne nazwać je historiografią globalną, przynależą po prostu do miejscowych historiografii narodowych — amerykańskiej, francuskiej czy niemieckiej. To *novum*. W poprzednich pokoleniach polskich migrantów zawodowych nie zdarzało się tak szybkie zerwanie z własnym dziedzictwem historiograficznym.

Odwrotnością tego zjawiska jest wykształcenie się w samej Polsce, również w ostatnich dziesięcioleciach, kilku społeczności badaczy pracujących nad pewnymi segmentami dziejów Polski z perspektywy swego własnego dziedzictwa kulturowego i silnie odczuwanej niepolskiej

przynależności narodowej. W sensie organizacyjnym są oni częścią polskiego życia naukowego, ale w ich publikacjach rysuje się, nieraz mocno, odrębność podejścia do tych dziejów. Mam tu na myśli zwłaszcza historyków ukraińskich, a po części też żydowskich. Jest to tendencja przeważająca w pokoleniu, które dojrzało w Polsce w ostatnich dziesięcioleciach XX w. Należy tu przypomnieć, że historycy pochodzenia etnicznie niepolskiego byli w historiografii polskiej obecni od jej początków. Ci, którzy przynależeli lub przynajmniej wywodzili się z kultury Żydów polskich (Szymon Askenazy, Majer Bałaban, Henryk Wereszycki, przykłady można mnożyć) przez ostatnie dwa wieki współkształtowali jej główny nurt. Fundamenty polskich badań nad dziejami kultur orientalnych położyli z kolei uczeni etniczności karaimejskiej. W czasach PRL-owskich sytuacja ta się jeszcze utrzymywała, a nawet rozszerzyła o badaczy rodem z kultur wschodniosłowiańskich. I dziś mamy specjalistów z zakresu dziejów poszczególnych etniczności (np. ormiańskiej, karaimejskiej, tatarskiej), którzy identyfikując się ze swymi wspólnotami etnicznymi, tworzą w obrębie polskiej historiografii. Jak sądzę, wynika to z faktu, że pojmują swoje dziedzictwa jako integralne elementy przeszłości Polski. Odmienna tendencja przeważała w dwóch wspomnianych wyżej wypadkach, a można do nich jeszcze dodać środowisko badaczy łemkowskich. Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się stało, trzeba pozostawić na inną okazję, a tu można tylko stwierdzić ten ich wybór, nie paternalizować go, ale przyjąć do wiadomości, że narodowa historiografia ukraińska, żydowska i łemkowska tworzona jest po części także w Polsce.

Dużo się mówi o obawach przed utratą własnej pamięci zbiorowej, a więc i tożsamości wspólnotowej, wskutek propagowanej — np. przy okazji projektowania wystawy w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku — globalistycznej perspektywy patrzenia na historię. Realne formy, które przybrały wspomniane wyżej odpryski od polskiej historiografii, świadczą o zupełnie innym kierunku zmian w ostatnich dekadach. W konkretnych wypadkach nie następuje bynajmniej zerwanie z paradygmatem historiografii narodowej, a tylko z jej polskim charakterem, na rzecz innego, ale w tym samym gatunku. Podobnie dzieje się na stykach pomiędzy historiografią polską i krajów sąsiedzkich. Debaty w sprawach wrażliwych stają się okazją do zgłaszania postulatów o „transnarodowe” podejście przy ich analizie. Bywa, że pojawiają się deklarujące takie podejście prace, ale ich autorzy poprzestają najczęściej na stworzeniu katalogów różnic pomiędzy narodowymi historiografiami. Częściej spotykamy się z sytuacją, że zamiast badać „globalnie”, historycy wyrastający z tradycji jednej historiografii, adaptują ujęcia innej. Jest to przypadłość wielu badaczy polskich w odniesieniu do schematów interpretacyjnych

niemieckich, ukraińskich lub żydowskich, w minimalnym stopniu rosyjskich, lecz „transnarodowe” ujęcie konkretnego problemu historiograficznego bynajmniej z tego nie wynika. Takie przyswojenia postronnych punktów widzenia, np. na kwestie relacji polsko-żydowskich, polityki narodowościowej II Rzeczypospolitej, ludobójstw w czasach II wojny światowej czy akcji „Wisła”, to nie zysk dla polskiej historiografii, ale raczej przykry objaw niezdatności niektórych jej uczestników do formułowania tez niezależnych, oryginalnych i nowatorskich.

Parę lat temu mieliśmy też do czynienia z przedziwną inicjatywą (może tylko incydentem) reanimacji — na gruncie historiografii — starych „błędów luksemburgizmu”, choć wydawać się mogło, że nawet w macierzystej dla nich myśli marksistowskiej zostały na dobre pogrzebane. Zwołano konferencję o potrzebie analizowania tego, co działo się z Polakami w wieku XIX, w kategoriach dziejów państw zaborczych. Jakaś gazeta temu patronowała. Jak rozumiem, nie chodziło o samo uwzględnianie kontekstu rozbiorowego, bo w każdej polskiej pracy historycznej dotyczącej „czasu niewoli” był i jest on uwzględniany, ale o zerwanie z paradygmatem historiografii narodowej odnośnie do badania własnej historii czasów, gdy Polacy nie posiadali suwerenności politycznej. Jeżeli słusznie interpretuję intencje pomysłodawców tej inicjatywy, sygnalizuje ona jakąś tęsknotę do nihilizmu tożsamościowego, ale przede wszystkim z metodologicznego punktu widzenia jest dla historiografii propozycją niemądrą. Minione byty państwowe wymagają integralnego opisu historycznego, ale w XIX w. bytem historycznym była także narodowa wspólnota polska, mocno objawiająca swe istnienie w kulturze i polityce, i to nie tylko w wymiarze wewnątrzaustrackim czy wewnątrzrosyjskim, ale ponadzaborowym i międzynarodowym. Jeżeli dziewiętnastowieczni Europejczycy patrzyli na sprawę polską jak na jeden z problemów w polityce międzynarodowej, to dlaczego współcześni historycy polscy mieli oślepnąć na ten fakt i badać ją jako wewnętrzny problem trzech imperiów? Fakt ten stanowi wystarczające uzasadnienie dla osobnej optyki historiograficznej, która nie koliduje, ale wzbogaca wiedzę o procesach dziejących się w dziewiętnastowiecznej Rosji, tudzież w Prusach (Niemczech) i Austrii, a przede wszystkim sprawia, że możliwa staje się pełna i wielowątkowa analiza o szerszym wymiarze, czyli synteza dziejów Europy tamtych czasów. Polska historiografia, poza innymi zadaniami, których zechciałaby się podjąć, ma definicyjny obowiązek dostarczenia do takiej analizy syntetycznej i kompetentnej wiedzy na temat wątku polskiego, a tego nie da się zrobić bez uznania tego wątku za główny podmiot badań. Może to zrobić, jeżeli zechce, także historyk niepolSKI, bo nie o narodowość badacza tu chodzi, byle zastosował odwrotność

tego, co postulowali pomysłodawcy wspomnianej inicjatywy, czyli perspektywę historii Polski.

Do objawów o charakterze trendu w historiografii polskiej zaliczyłbym także osłabienie klasycznych walorów naukowości, czyli depopularyzację tego, co nazywamy metodą historyczną. Może w masie polskiego produktu historiograficznego jeszcze tego nie widać, większość badaczy trwa przy pozytywistycznym podejściu do historii, ale chyba jest to jeszcze skutek siły tradycji. Coraz częściej spotykamy się z wykwitami nowej tendencji. Najgłośniejsza praca, którą napisano w ostatnim czasie na temat dziejów Polski (mam tu na myśli utwór Jana Tomasa Grossa o tragedii w Jedwabnem), naruszyła niemal wszystkie kanony warsztatu historycznego, a mimo to jej autor odniósł sukces na skalę globalną. A jak wiemy, przykłady pociągają.

Odchodzenie od źródłowości, krytyki źródeł i dążenia do obiektywizmu — a to są naczelné kanony dobrej roboty w historiografii — dokonuje się w polskich badaniach na kilka sposobów.

Pierwszy jest odwieczny, więc mniej szkodliwy. Jest nim presja mód metodologicznych. Może jeszcze nie tyle sama historiografia polska im ulega, ile wprowadzają je do obiegu inne dziedziny humanistyki, działające na pograniczach z historiografią, takie jak literaturoznawstwo czy antropologia kulturowa. Adepti tych nowinek, najczęściej z punktu widzenia rozwoju humanistyki światowej nieco zleżałych, podejmując stare tematy historyczne, starają się zastosować nowe podejścia interpretacyjne. Chwała byłaby im za to, ale niestety, realizacja owych podejść polega najczęściej na streszczaniu dorobku historiografii pozytywistycznej i doczepieniu do niego „modnych bzdur”, jak ten trick określili Alan Sokal i Jean Bricmont odnośnie do żyjących „klasyków” antropologii kulturowej. Jeden z wielu przykładów dostarcza studium o „konstruowaniu podmiotowości w listach z emigracji Hugona Kołłątaja”, którego autorka dążyła do „uchwycenia sposobów artykulacji podmiotowości i wstępnego uporządkowania uruchamianych w emigracyjnej korespondencji strategii autokreacyjnych, służąc tym samym przygotowaniu gruntu pod dalsze rozważania”. Głośniejszą i bardziej miarodajną ilustracją „modnego bełkotu snobistycznej blagi” (tym razem posłużę się wyrażeniem użytym przez Antoniego Słonimskiego dla obrony poezji przed awangardą literacką) stanowi *Fantomowe ciało króla* Jana Sowy. Jak czytamy w reklamie tej książki, jest ona „propozycją przepisania historii Polski oraz opisanie jej społeczno-kulturowej tożsamości przy pomocy narzędzi teoretycznych, które albo w ogóle, albo w niewielkim tylko stopniu wykorzystano kiedykolwiek w tym celu — teologii politycznej, Lacanowskiej psychoanalizy, teorii systemów-światów, studiów postkolonialnych,

ontologii wydarzenia Alaina Badiou czy teorii hegemonii”. Tak szeroka gama podejść sprawiła rzekomo, że na jej kartach „w zaskakujący i — jak się okazuje — inspirujący sposób Wallerstein spotyka się z Gombrowiczem, Brzozowski z Lacanem, Lefort z Andersonem a Gramsci i Laclau ze staropolskimi sarmatami, aby wyjaśnić zagadkę, jaką była i jest Polska”. Rzecz w tym, że mimo wsparcia sławnych autorytetów, autor nie popisał się wiedzą o „zagadce” głębszą niż ujęcia rodem z podręcznika szkolnego.

Może doczekamy się z czasem kompetentnych pod względem historiograficznym prac w tych nowych językach metodologicznych. Na razie przerost monstrualnych interpretacji nad poznaniem źródłowym jest w nich problemem nieprzewalczonym. Hasłowo pojmowany postmodernizm wydaje na gruncie historiografii polskiej owoce głównie śmieszne w smaku. W jednym z polskich uniwersytetów Wydział Historyczny chciał wprowadzić nową specjalizację — biohistorię. Tego przyszłościowego podejścia (choć raczej z gatunku nauk pomocniczych historii), chciano uczyć humanistów. Zachwyceni nowoczesnością biohistorii autorzy pomysłu przeoczyli, że dla jej poprawnego zastosowania konieczne są kompetencje medyków, biologów, genetyków, klimatologów i im podobnych sojuszników profesji historycznej, a nie studentów humanistyki, którzy nawet po pięciu latach studiów byłiby jako biohistorycy niekompetentni bez laboratoriów i umiejętności pracy w nich. Moda się rozszerza. Programy studiów doktoranckich z zakresu historii wypełnia się obowiązkowymi wykładami o takich metodach jak właśnie „teologia polityczna, Lacanowska psychoanaliza, teoria systemów-świątów, studia postkolonialne, ontologia wydarzenia Alaina Badiou, teoria hegemonii” i tak dalej. Nawet całkiem tradycjonalistyczna praca biograficzna o pewnej bogoojczyźnianej patriotce z Przemysła przedstawiana była przez autora jako studium z gatunku *gender*. Aż dziw, że prawdziwi arbitrzy *gender*ów nie spalili go na stosie za to bluźniercze dla ich ideologii pociągnięcie reklamowe. Tak właśnie działa przekonanie, że gwarancją sukcesu i rozgłosu jest zastosowanie, choćby hasłowo tylko, czegoś z niezmiernych zasobów postmodernistycznych teoretyzacji.

Mimo wszystko powtórzę: to zjawisko nie jest najgorszym, co spotyka polską historiografię. Przypomina „metodologiczny” zalew marksizmu symplicystycznego (określenie Henryka Wereszyckiego) w latach rządów komunistycznych w Polsce. Niewiele z niego pozostało w pamięci. Sądzę więc, że będzie jak w wierszu Słonimskiego, przy zamianie obiektu twórczego, którego dotyczył, z poezji na historiografię: „I cóż, że biedne słowa wypokraczy / I wtłoczy w szereg dziwaczných skojarzeń? / Wiersz, kiedy nie jest pokarmem dla marzeń / Gdy nie jest skargą, buntem — nic nie znaczy”.

Moody przemijają. Niepokoi nie samo zjawisko, ile brak racjonalnego sprzeciwu. Naszym błędem jest pozamerytoryczna reakcja na wybryki podobne wyżej wspomnianym. Żartujemy z nich, bo są śmieszne w swym makaronicznym języku, barokowym pustostłowi i kompletnej beużyteczności. Rodzi się wrażenie, że chowamy głowy w piasek, jakbyśmy chcieli przeczekać to, co tym razem nas zalewa. Piszemy w większości „po swojemu”, czyli wierni kryterium naukowości, nie podejmując polemiki z nieaprobowaną przecież przez większość z nas presją mód metodologicznych. A tymczasem trzeba do tej niepokojącej tendencji podejść poważnie. Niezwalczana, obejmie władztwo nad przyszłością polskiej historiografii. Przecież polemiki z postmodernizmem toczą się na świecie. Tam nawet twórczość polskiego guru tego kierunku (Zygmunta Baumana) doczekała się już „dekonstrukcji” jako zwykły plagiat tekstów rodem z Wikipedii.

Bynajmniej nie chodzi o zwalczanie nowatorstwa metodologicznego, lecz o takie aplikowanie nowych podejść, które nie niszczy pryncypiów warsztatu historiograficznego, i które samo w sobie jest trudem i wysiłkiem pozyskiwania źródeł, refleksją i pomysłowością analityczną, a nie bałwochwalczym naśladownictwem cudzych interpretacji, nakładanych na polskie sytuacje historyczne. Efekt takiego działania znamy już po przeczytaniu wstępnych rozważań teoretycznych, jeszcze zanim zagłębimy się w część analityczną danego opracowania. Jakżeż to przypomina cytowanie klasyków marksizmu-leninizmu w czasach minionych — analiza konkretnego problemu potwierdza słuszność przyjętej teorii. Badacze kultury dobrze wiedzą, że najlepsza metoda to taka, która powstaje w ścisłym związku z pracą w terenie. Dla historyka tym terenem są źródła. Jest nim umiejętność poszukiwania, odczytywania, krytykowania i analizowania źródeł. I to te umiejętności są najpilniej potrzebne adeptom zawodu historycznego na studiach doktoranckich, a nie znajomość narastających lawinowo i zmieniających się jak w kalejdoskopie szkół teoretycznych. W przeciwnym razie zamiast postępu w poznaniu historycznym otrzymamy scholastyczną stagnację. Pouczające są tu dokonania historiograficzne polskich badaczy ze szkoły studiów postkolonialnych. Szkoła skądinąd bardzo pożyteczna, ale ich polskie wykonania można co najwyżej użyć jako teksty źródłowe do badań nad praktykami o charakterze postkolonialnym stosowanymi współcześnie wobec humanistyki polskiej.

Inny sposób korozji doświadczanej przez historiografię polską jest groźniejszy, choć jak na razie znacznie mniej popularny. Polega nie na odejściu od źródeł, ale na programowym zaniechaniu ich krytycznej analizy. Postępowanie w tym wypadku przypomina proces karny,

w którym chcemy koniecznie kogoś skazać, więc na wszelki wypadek rezygnujemy z weryfikacji zeznań świadków oskarżenia. Z uporem godnej dobrej sprawy to podejście propaguje wspomniany już Jan Tomasz Gross, odwołując się do tezy, że z uwagi na okropieństwo zagłady Żydów w czasie II wojny światowej świadectwa ocalonych nie podlegają krytyce badawczej. To wybieg, który ma ukryć niedostatki (staram się być uprzejmy) warsztatu tego autora. Gdy ten chwyt się upowszechni odnośnie do innych tematów, a w wielu można obmyśleć analogiczne preteksty, grozi upadkiem historiografii jako dziedziny nauki.

I jeszcze jeden niepokojący symptom w polskiej historiografii ostatnich dekad. Mam na myśli mitologizację narracji historycznej na bieżące potrzeby. I tu objawia się w całej swej podstępnej krasie mit Rzeczypospolitej. Ulegają mu masowo współcześni polscy historycy, nie zauważając, jak wskutek semantycznej ewolucji tego dostojnego i historycznego terminu, kiedyś bezdyskusyjnie identyfikowanego z Polską, znika z narracji historycznej kawałek po kawałku — niczym kot z opowieści o Alicji w krainie czarów — historyczna Polska wieków od XVI do XVIII. To niezwykle fenomen anihilacji przez narodową historiografię własnej historii, i to w dobie, gdy w odniesieniu do tych samych czasów i dziejów konstruowane są drogą historiograficzną takie nieistniejące wtedy jeszcze byty, jak Ukraina czy Białoruś. U korzeni mitu „rzeczpospolitego” legły pospołu szlachetne intencje obdarowania wspólną historią nowych narodów Europy Wschodniej oraz rachuby na odtworzenie współcześnie jakichś form mocarstwowego znaczenia Polski z tamtych czasów. Nie byłby on jednak tak wpływowy, gdyby nie odchodzenie od źródłowych przekazów historycznych na rzecz historiograficznych konceptów narracyjnych. Historia została tu skolonizowana przez ideologię.

Istotną przyczyną tej przemiany wydaje się być brak kontynuacji kulturowej. Mógłby ktoś sądzić jeszcze niedawno, że brak ten dotknął tylko historiografię Żydów polskich, wymordowanych podczas Zagłady, więc dziś już niemal niemających autentycznych dziedziców, oraz Rusinów, których kultura, „żywa stara Ruś”, ulegała przez wieki segmentacji i dziś tylko deklaratywnie przyznają się do niej Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie i Łemkowie. Jednak najwidoczniej i dzieje Polski ucierpiały wskutek pojawienia się nowych pokoleń historyków polskich, wychowanych w warunkach narodu o wysokim stopniu homogenizacji kulturowej, co utrudnia im wyobrażenie sobie wspólnoty narodowej typu wieloetnicznego. Pochopne nazywanie Rzeczypospolitej państwem „wielu narodów” wskazuje, że nie pojmują dawnej Polski.

Jedna po drugiej powstają dysertacje w duchu „rzeczpospolitnym”, coraz to bardziej pomysłowe. Na przykład o tym, że Rosja nie uczestniczyła

w pierwszym rozbiórce Polski, bo zabrała wtedy Inflanty i fragment Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jej autor, historyk prawa, przeoczył zarówno terminologię, jak i sensy traktatu rozbiorowego pomiędzy Rosją a „Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską”. Doczekaliśmy się też w Warszawie rezydencji „królów Rzeczypospolitej”, jak nazywany jest Zamek Królewski. A jednocześnie, tu też tylko przykład, pewien polski historyk nauki, oceniając dorobek Ludwika Kolankowskiego w zakresie historiografii Wielkiego Księstwa Litewskiego, ogłosił go polskim nacionalistą, gdyż tak zinterpretował sprzeciw tego badacza wobec koncepcji Mychajły Hruszewskiego (Mihajlo Gruševs'kij), który dzieje Księstwa uznał za własność narodu ukraińskiego.

Oczywiście, są jeszcze historycy polscy, którzy nie dostrzegają żadnego dysonansu między pojęciami „Rzeczpospolita” i „Polska”. W naszej społecznej świadomości historycznej wciąż funkcjonuje określenie „I Rzeczpospolita”, a więc pierwsza z kilku polskich. Jednak to już jest rozumienie ograniczone pokoleniowo i geograficznie. Poza Polską i dla młodszego pokolenia badaczy polskich wspomniane pojęcia nie są synonimami. Problem nadaje się do szerszej dyskusji, połączonej z refleksją nad narodową tożsamością podstawowego obiektu naszych badań na przestrzeni wieków. Kiedy obok państwa zaczęła funkcjonować polska wspólnota narodowa, jaki miała charakter, jak się przeobrażała, czy faktycznie istniał „naród szlachecki”, kiedy zrodziły się nacjonalizmy wschodnioeuropejskie — to kwestie o charakterze egzystencjalnym dla polskiej historiografii. Mamy tu dawne tradycje analityczne, zakwestionowane w wielu już pracach, z których wnioski, gdyby je zestawić, graniczą miejscami z absurdem. Pojawiły się ważne analizy historyków niepolskich o wielkim wpływie na naukę światową. Pora najwyższa problem skonfrontować z nową wiedzą źródłową i teorią procesów narodowych.

I wreszcie funkcja społeczna historiografii. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że po to — między innymi — pracujemy, aby ktoś, poza kolegami i koleżankami, nas czytał. Stąd, gdy zgodnie z normami i pryncypiami naszego warsztatu naukowego dostarczamy kompetentne zasoby intelektualne dla polityki historycznej, nie tylko spełniamy obowiązek kreowania tożsamości wspólnotowej, ale też realizujemy się jako autorzy. Potrzeby społeczne są tym rodzajem inspiracji dla pracy historyka, którą uważam za jak najbardziej naturalną i potrzebną. Jednak istotniejsza w wymiarze społecznym wydaje mi się inna jeszcze nasza naturalna rola. Jest nią prezentowanie polskiego doświadczenia historii wobec historiografii światowej. Miarodajnej reprezentacji pomagają zażyłość kulturowa z badaną społecznością, to jest akceptacja jej, taką jaką jest, a w wypadku historyków — jaką była. Postawy wstydu czy zażenowania

są tego zaprzeczeniem. Zażyłość wyniesiona z socjalizacji stanowi wartość dodaną każdego historyka, który wyrósł w kulturze polskiej. Jest to wstępna kompetencja, badacze przychodzący z zewnątrz muszą ją dopiero nabyć. Potencjał wytworzony przez zażyłość kulturową ułatwia zrozumienie badanej kultury, jej praktyk i statusów, i w czasie terażniejszym, i minionym. Tymczasem spotykamy się ostatnio z wypowiedziami o przeszłości Polski, których autorzy (względnie autorki, jak to było z niešťczęsną Olgą Tokarczuk) sprawiają wrażenie (tu sparafrazuję przywołany już wiersz Słonimskiego), „że historię piszą, jakby pluli na ludzi”. Pamfletów i paszkwili na polską historię, różne jej epizody i aktorów dziś nam nie brakuje. Tradycje pochopnego rewizjonizmu stańczykowskiego łączą się tu ze spadkiem po propagandzie Niemiec weimarskich i reżimu stalinowskiego oraz z emocjami i traumami o narodowościowym podłożu. Obowiązkiem historiografii polskiej jest spór merytoryczny z tendencją paszkwilancką, zarówno w wymiarze krajowym, jak i światowym.

Co zatem będzie z polską historiografią? Sądzę, że to zależy od tego, czy utrzyma się w niej to coś, co zwykliśmy określać mianem „głównego nurtu”. Istniał on jako rezultat dążenia do harmonii pomiędzy sprawowaniem skutecznej kontroli merytorycznej świata akademickiego nad nauką historyczną, a promocją problemów, które gremia naukowe uważały za istotne dla poznania przeszłości narodowej.

Trudno powiedzieć, czy jest to dziś możliwe. Maleje wpływ zjazdów, kongresów, organizacji i redakcji na kreowanie ocen opartych na kryteriach merytorycznych. Rośnie toksyczny wpływ na uniwersytety i instytucje badawcze zideologizowanych mediów, które agresywniej niż dawniej aparat partyjny chcą narzucić tematy, ich ujęcia, ustalić hierarchię w naszym środowisku i decydować o relegacji z niego nieaprobowanych przez nie badaczy. Ministerialna reanimacja struktur „głównego nurtu”, bazująca na niemerytorycznej punktacji uczelni, wydawnictw i czasopism narobiła więcej szkody niż pożytku. „Porządkowanie” środowiska akademickiego zmusiło je do działań formalistycznych i skrepiowało wolność badań. Jest to jedna z przyczyn nasilenia się zjawiska przenoszenia pewnych dziedzin badań historycznych poza uczelnie. Narasta dynamika nurtów rozwijających się wedle własnych norm i hierarchii: historiografia lokalna, etniczna, powiązana z polityką historyczną itd. Punktacja, pomijająca z zasady czasopisma i grona badawcze o charakterze specjalistycznym lub interdyscyplinarnym, niepowiązane z wpływowymi instytucjami lub silnymi dziedzinami, sprzyja rozwojowi tej „nieurzędowej” historiografii na zasadzie przejmowania opuszczanych pól. Badania wyrzucone poza obręb historiografii „punktowanej”, więc niesprzyjające karierze badacza, oraz po dawnemu te niemodne, źle

widziane lub kontrowersyjne, podejmowane są poza systemem „głównurtowym”. Tworzy się „drugi obieg”, co wpływa na dezintegrację historiografii, ale zapewnia minimum wolności badawczej i wielowątkowość badań. Historiografia scentralizowana, odgórnie zarządzana i zamknięta w gorset punktacji jest podatna implementacji ujęć, które jakiś ideologiczny decydent może chcieć jej narzucić. Osobiste pasje poznawcze zawsze zapewniały najciekawsze i najbardziej inspirujące efekty.